

MIARA

Maciejowi Żurowskiemu

Ideę potąd,
pokąd płyta kładzie mi się popod stopą:
dwaj drogowi w drelichach nad chodnikiem klęczą.

Dźwięk i stuk i szelest
przedłużają mi ścieżkę w kiełkującą zieleni,
gdzie z benzyny węz gumowy do zaskrońca uciekł sycząc.

W rytmie latającej w cudzych rękach łopaty
zawstydzony schądzę niżej - w kwiaty,
liczę kroki według drewnianego młotka.

Słyszę, kroczy ze mną nieliczony pochód:
nawet na odludziu robotnika spotkam
nieznanego, co legł jeszcze niżej - w prochu.

Liczę, łaka da mi sto krokusów w pięty -
ja szklami, spałkymi z oczu, o kraj płyty
układanej pode mną dźwięczną...

Płoszę trzmiela w ciemierniku białym,
w bladożółtym gąszczu pręcików -
"... ja się odwdzięczę... czym? wszystkim... niczym..."

Na rozdrożu słowiarsko-kamieniarskich robót,
ze skał, choćbym młot ujął, wiersza bym nie wykuł -
szukam wielonarzędziem na bezmiar sposobu.

- Jego w głazie nie wryto,
a w pyle drogi o tym nie wiadomo.
Podźwiękuje o krawężnik kilofomłot.

Dotknę miejsca pod niepołożoną jeszcze płytą
ruchem tak bezimiennej - przed językiem - ręki
rozwijającej - widno - zwijającej - kręgi,

że to, co najdalsze i najwyższe - znajdę nisko
na znak, na napis.

Nie zawierzę rozkwitom, pierwszym listkom...

Julian Przyboś